*Listopad powoli przemienia się w grudzień, a jesień ustępuje miejsce zimie. 23 listopada ponownie spotkaliśmy się w Krakowskiej Bursie Ponadpodstawowej przy Focha 39, by razem miło spędzić czas, porozmawiać oraz zawiązać nowe przyjaźnie. Atmosfera, pomimo zawartości szkodliwych pyłów w małopolskim powietrzu, była przepełniona radością i szczęściem. Tak więc oto relacja z kolejnej edycji Krakowskiego Pony Meeta o numerze 18.3. od dwóch milusich twórców i kilka porad od nieogarniętej rysowniczki >>> Catkitty, Moonlight, Victoria Luna.*

***Dziołcha przyjeżdża do miasta, czyli Victoria opowie o swojej przygodzie.***

Pozdrowienia dla pana Lemura :v

Nu pakażu.

Krakowski Meet był ostatnim konwentem, na którym miałam okazję być w tym roku. W planach był również Remcon, który ma odbyć się 13-15 grudnia w pewnej rybackiej wiosce (patrz: Gdynia, jak powiadają), lecz niestety, wraz z Semaforem musiałam podjąć decyzję, by zrezygnować z wyjazdu nad morze z powodu przyczyn czysto logistyczno-finansowo-szkolno-prywatnych. Życie, jak mawiają niektórzy ludzie, w tym i ja. Po części jednak kamień spadł mi z serca. Wyprodukowanie merchu będącego nie pastelowymi konikami, a czymś innym, jest dla mnie nie lada wyzwaniem, a zwłaszcza w tak krótkim czasie. Wprawdzie na Remcon zdecydowaliśmy się jechać już we wrześniu, lecz postanowiłam odłożyć przygotowania na później. I na szczęście to była dobra decyzja. Oczywiście, mogłabym wykorzystać to w późniejszych wyjazdach, ale na razie mam inne priorytety. Jestem typem osoby, który woli skupiać się na bliższej przyszłości niż niepewnych planach, jeśli mówimy o tego typu sprawach.

Przygotowania rozpoczęłam jakieś trzy tygodnie przed datą meeta. Jako że zakupiłam ostatnio dodatkowy sprzęt w postaci lightboxa (Huion Lightpad A4), przygotowania przebiegały nawet sprawnie, gdyż gdy już miałam daną postać, lecz kartka była już zbyt wykończona, wystarczyło po prostu włączyć sprzęt z Japonii i przerysować. Niestety, na swojej drodze miałam kilka przeszkód… Problemem była moja szkoła, a dokładniej – internat. Często biorę ze sobą laptopa, by móc pracować i tu… Do samego laptopa potrzebne mi są tylko mysz, zasilacz oraz, oczywiście, tablet graficzny. Nic trudnego. Natomiast jeśli chodzi o rysowanie metodą tradycyjną… Na szczęście nie musiałam brać ze sobą pół biurka, tylko jeden średniej wielkości i wypchany po brzegi piórnik. Najbardziej jednak okaleczało mnie stanowisko pracy – brakowało mi kilku materiałów oraz odpowiedniego oświetlenia, a także… mojego biurowego krzesła. Mówię poważnie. W internacie są tylko takie krzesła, jak w niektórych starych salach wykładowych lub w lipnych restauracjach. Ale trzeba się dostosować, bo przecież nie nauczę się siedzieć w powietrzu.

Mijają dwa-trzy tygodnie, rysunki się robią, a plecy bolą. W końcu przychodzi przeddzień meeta, czyli 22 listopada. Po dosyć obfitym obiedzie siadam z pełnym brzuchem do trzech ostatnich rysunków. Po bodajże dwóch-czterech godzinach urozmaiconymi ploteczkami oraz sprzeczkami z moją mamą. I pozostało czekać na moment, gdy jadę do Krakowa.

Tak więc oto nadchodzi ten moment – pakuję się do pewnego krakowskiego empeka, który po kilku przystankach jest bardziej przeludniony niż pociągi w Indiach. Teoretycznie mogłabym pojechać od razu na meeta, ponieważ ulica Focha znajdowała się na trasie magicznego autobusu. Ale nie tym razem. Miałam za zadanie odebrać Cata z Dworca Głównego oraz zabrać na porządnie śniadanie bez kofeiny. Po porannym posiłku udaliśmy się do miejsca docelowego, które znajdowało się jakieś 20 min. drogi czterokołowym pojazdem bez korków w godzinach szczytu. Po dotarciu na jeden z dwóch przystanków zdecydowaliśmy się poczekać na kolejny autobus komunikacji miejskiej niż iść piechotą. Los chciał, że w tym samym pojeździe była Moonlight.

W ten oto sposób docieramy do dobrze nam znanej Bursy Ponadpodstawowej, która od lat udostępnia placówkę na ten konwent. Co ciekawe, odwiedziła nas jedna z wychowawczyń (lub nawet sama kierowniczka) i była bardzo ciekawa, co tak dokładnie tu robimy. Ale od początku. Jako że była godzina 10:00, akredytacja została otwarta. Udaje mi się poprosić o odpowiedni identyfikator wystawcy i za zgodą urzędnika podatkowego weszłam do środka, by rozejrzeć się za naszym stanowiskiem. Na szczęście, w porównaniu m.in do Ambermeetu, byłam już odpowiednio przygotowana, więc merch nie musiał zagradzać nam stolików, a my mieliśmy godne warunki do tworzenia commissionów na miejscu. Moon od razu wystawiła swój merch. Ja natomiast musiałam chwilę nad nim popracować… Ale w ciągu 40 min byłam gotowa prezentować swoje prace. Wcześniej wspomniałam o pani wychowawczyni z bursy. Zapytała nas, czy to nasze prace/rysunki. Wraz z Ciocią (Moonlight) odpowiedziałyśmy twierdząco. Pani był bardzo zauroczona naszymi rysunkami i po chwili przyznała, że nigdy nie wiedziała, co my tu do końca robimy. Potem poszła się rozejrzeć dalej. My natomiast wróciłyśmy do swoich zajęć. Między sprzedawaniem i omawianiem zamówień plotkowałam z Ciocią i Catem, chcąc co nieco dowiedzieć się, co w trawie piszczy. Nawet nie zauważyłam, kiedy ten czas minął. Oprócz siedzenia na stoisku rozmawiałam z innymi brony, nie tylko na temat kucyków, oraz rozglądałam się za ciekawymi pamiątkami z tego dnia. Zakupiłam kilka magnesów na lodówkę i tablicę magnetyczną, podkładkę pod mysz oraz wspomogłam krakowskie schronisko na Rybnej 3. Weterynarz też ma serce, mimo że często znieczulone.

W pewnym momencie (jakoś pół godziny po otwarciu akredytacji) złapałam Altiusa, który nieco wcześniej poprosił mnie o pomoc przy jego debiutanckiej płycie – EP. Wraz z Moonlight miałyśmy za zadanie zadbać o oprawę graficzną produktu. Ja w przydziale otrzymałam postacie na płytę, a Ciocia – okładkę. Wspólnymi siłami dokończyliśmy projekt, choć chwilami jego los wisiał na włosku. Niemniej udało nam się. Każdy, kto miał udział w projekcie, otrzymał jedną pamiątkową sztukę. Zrealizowany pomysł był prezentem dla naszej koleżanki – Porcelanowego Okulara. Była niezwykle szczęśliwa, mając udział w czymś takim. Dla postronnego obserwatora mogłoby być to coś błahego, lecz dla mnie i dla innych osób – coś niezwykle ważnego i cennego.

Ogółem czas minął mi bardzo przyjemnie. Miałam okazję spotkać się ze swoimi znajomymi i porozmawiać o różnych rzeczach – od macierzystego serialu po różne inne kreskówki, poglądy, aż do życia codziennego i inne takie. To był drugi powód przyjazdu na ten meet – chęć spotkania, wyściskania i porozmawiania z innymi. Rzadko kiedy mam okazję porozmawiać z kimś o tego typu rzeczach, ponieważ albo nie znam takiej osoby, albo nie mam ochoty ośmieszyć się przed nieznajomymi. Jestem takim typem osoby, która trzyma się swojej paczki i zazdrośnie jej strzeże. W tym przypadku bardziej trzymam, niż warczę na innych, bo po prostu za rzadko się widzimy. Ale udało mi się znaleźć kilka znajomych twarzy i pogadać na luzie. Bardzo doceniam takie chwile, bo wiem, że prędko się nie powtórzą. Wyczekiwałam również na aukcję charytatywną. Byłam ciekawa, co magiczny duet z krakowskiego *Mam talent* wymyśli oraz cen produktów, w tym moich fantów. Oczywiście, nie zabrakło sucharów oraz żartów, przy których o mało się nie popłakałam. Bardzo mi się podoba komunikacja na linii prowadzący–widownia. Często ktoś z zebranego ludu dokańczał lub dopowiadał, dzięki czemu powstawała wybuchowa mieszanka śmiechu. Najbardziej rozwaliło mnie ogłoszenie dotyczące aftera, a mianowicie informacje z kategorii *czego nie robić* pod tytułem „Formacja BYDŁO i Super Partia”. Po ogłoszeniach parafialnych przeszliśmy do samego sedna aukcji. Zbiórka była udana, ponieważ, jak potem podano na fanpage'u, zebrano prawie 3100 zł na rzecz Krakowskiego Stowarzyszenia Opieki nad Zwierzętami. W ten sposób dobiegł dzień na Krakowskim Pony Meecie 18.3.

Ogólnie meeta wspominam ciepło, pomimo mrozu na zewnątrz. Spotkałam się z przyjaciółmi oraz moim ukochanym (kocham Cię, Kotku), zarobiłam nieco kasy, ale przede wszystkim miałam okazję dobrze się bawić. I ją wykorzystałam. Bardzo miło spędziłam czas w gronie moich znajomych oraz przyjaciół, śmiejąc się i wymieniając informacje, przecieki lub inne ploteczki. Mimo toksycznego smogu i zgiełku, impreza była przednia. Już nie mogę doczekać się kolejnej edycji, pod numerem 18.4... lub może 20.1? Mam nadzieję, że będzie nam się dane na jeszcze jednym Krakowskim…

Foto pluszów do artykułu (nie wiem, czy działa)

<https://photos.app.goo.gl/hZarVVVpsF9Vu9f39>

**Dobry wieczór, witamy w pociągu te el ka „Małopolska” numer pięćdziesiąt trzy sto – czyli Cat korzystający ostatnio za dużo z usług „pekape intersyty”.**

Pojawienie się na Krakowskim Ponymeecie 18.3 było dla mnie tego samego rodzaju zaskoczeniem, co na Krakowskim Ponymeecie 18.2. I tu, i tam zaskoczeniem było zaistnienie tej imprezy. I tu, i tam decyzję o wyjeździe podjąłem z kilkutygodniowym wyprzedzeniem. I tu, i tam również nie za bardzo miałem jakikolwiek plan na siebie, jeśli chodzi o meeta; no może poza karaoke – to zawsze mam w planie.

Tym samym w piątkowy późny wieczór, załatwiwszy najpilniejsze sprawy i odrzuciwszy wszystkie inne – jak przygotowania do współorganizowania Remconu – na bok, zapakowałem Octavię do plecaka i stanąłem na peronie jednej z pomorskich stacji węzłowych PKP. Po dziesięcioipółgodzinnej przejażdżce spędzonej w będącym równolatkiem moich rodziców przedziałowym wagonie klasy drugiej wystąpiłem z pociągu i odsunąłem się od krawędzi peronu na głównej stacji Stołecznego Królewskiego Miasta Krakowa. Pomyliłem początkowo przejścia podziemne, przez co musiałem się cofnąć, by móc następnie wyjść na pasaż Galerii Krakowskiej i pędem poszukać jakiegoś miejsca na poranny posiłek z Vic, której to miałem oczekiwać pięć minut później na przystanku dwieście metrów dalej. Po zjedzeniu kanapek będących wystarczającym powodem do nienawiści ze strony wegan udaliśmy się empekiem na podróż ku ponymeetowi. Po chwili tak się miło złożyło, że po przesiadce z jednej linii na drugą znaleźliśmy się w autobusie z Moon, która – tu bez niespodzianki – również jechała na KPM.

W obrębie Bursy kręciła już się drobna gromadka broniaków, z którymi się przywitaliśmy, by następnie szybciusio się udać do wnętrza budynku. Po wystaniu kilkunastu sekund w mikrej kolejce (była to jeszcze dość wczesna pora) pożegnałem się z Bolesławem Chrobrym, witając w zamian kilka orłów, i znalazłem się na terenie wydarzenia. Nie minęło wiele minut, nim sobie w końcu uświadomiłem, po co właściwie się tam pojawiłem – dla ludzi. Nie znałem planu imprezy i faktycznie, jeśli chodzi o samego meeta, przejechałem cały ten szmat drogi po to, żeby się pokręcić po piętrze i pogadać z ludźmi, których lubię, a z którymi mam okazję się widywać jedynie na kucowych wydarzeniach. Już stojąc w kolejce do pozostawienia Tavi na PlushieConie (a stałem za Pawłem i jego końskim wózkiem, więc nie było to krótko), miałem okazję pogadać i pośmiać się z innymi uczestnikami. Opuściwszy moją podopieczną, znajdującą się teraz w bardziej sobie podobnym towarzystwie, poszedłem sprawdzić, kogo to jeszcze moje śliczne oczy ujrzą, i tak spotkałem jeszcze jednego ze swoich ulubionych wystawców oraz ludzi związanych z Fundacją BT/Bronies Twilight, a także innych znajomych, których twarzy nie potrafię skleić z ksywkami (przepraszam, Kidle!).

Po takim porannym rekonesansie (i naprawdę drobnej – zbyt drobnej – pomocy Semaforowi w rozstawieniu się) pobiegłem do sali głównej na otwarcie (na szczęście obyło się bez parasola). Chętnie wysłuchałem, co TK z resztą miał nam ciekawego do przekazania, by następnie wystrzelić do sali karaoke. Tam się rozśpiewałem – a przynajmniej próbowałem. Niestety okazało się, że zdążyłem wyjść ostatnio z wprawy (wątpię, by moi współlokatorzy byli zadowoleni, gdybym wieczorami szlifował swój śpiew). Po kilku utworach w niejednym języku moje gardło zażądało wilgoci, toteż wróciłem do semaforowego stoiska, by z wiktoriowej torby wyciągnąć swój izotonik. Pozostałem tam dłuższy czas w celu zawracania dziewczynom gitary sprawami, których już nie pamiętam, oraz rzucania na nie płomiennych spojrzeń za rezygnację z udziału w Remconie już po ustaleniu układu stołów. Starałem się przy tym robić również za żywą reklamę (stosując mniej lub – znów wybacz, Kidle – bardziej agresywną strategię). Przy okazji też kilkukrotnie dręczyłem Reda o przypinkę z Gildą (niezdarny Cat swoją gdzieś zgubił – nawet nie pamięta, w którym kraju). Niestety północnodolnośląski handlarz nie dysponował takową, zaś jego sprzęt teleinformatyczny postanowił uniemożliwić jej wykonanie na miejscu.

Po jakimś czasie nawijania ze znajomymi i nieznajomymi, wspólnej gry na rozwijanym gumowym keyboardzie i krótkotrwałym zaanektowaniu wraz z Moon bursowego pianina elektrycznego nasza (bynajmniej nie formalna) trójka zgłodniała. W tym miejscu słowo kluczowe jest jedno – foodtruck. Jestem osobą, która jest w stanie pochłonąć ze łzami szczęścia wszystko, co zawiera mięso i papryczki jalapeño, więc pojawienie się gastrodostawczaka Compadre było dla mnie w tamtej chwili gwiazdką z nieba. „A mają quesadillę ([kesadiję] – dokładnie tak się to wymawia, nie inaczej)?” – spytałem. TK potwierdził, na co wraz z Moonlight praktycznie zerwaliśmy się na równe nogi, by czym prędzej wypełnić swoje żołądki przewspaniale pikantnym połączeniem mięsa, sera i ciasta z mąki kukurydzianej. Pod foodtruckiem utworzyła się już niemała kolejka, ale na szczęście była ona numerowana, więc po złożeniu zamówienia nie trzeba było stać cały czas na – przeszkadzającym innym, nie mnie – chłodzie. Po odebraniu gotowego jedzonka wraz z Vic pożarliśmy tę dużą porcję prawie na pół. Dla niej była to pierwsza quesadilla w życiu, dla mnie zaś najlepsza, jaką było mi dotychczas dane spożywać.

W oczekiwaniu na turniej karaoke – na który zgłosiłem siebie oraz nie do końca świadomą tego faktu Ciocię Moon – mój telefon *uległ uszkodzeniu*, co jednak nie przeszkodziło mi w dalszym utrzymaniu radosnego nastroju – ot, śmieszna różowa smuga na ekranie. Zasiadłem przed niestrzeżonym komputerem Pisklaka (albo Porcelanki, nie wiem, najważniejsze, że był niestrzeżony i w moim zasięgu), by pokazać innym, jakie zabawne rzeczy można robić z pomocą hosta RunDll32, mechanizmu OLE w WordPadzie czy też z użyciem aplikacji Kalkulatora z systemu Windows 8.1. Te dwie ostatnie zabawy nawet zwróciły uwagę kilku osób, które po chwili same zaczęły wpatrywać się w ekran, zastanawiając się, jakim sposobem przelicza się węzły na żółwie. W końcu trzeba było jednak opuścić tamto miejsce, by udać się na turniej! Po kilku pojedynkach – w tym jednym z naprawdę nikłą przewagą – dotarłem do finału, gdzie zdobyłem drugie miejsce. Nagrodą był uścisk dłoni prezesa. Chociaż, jak sobie tak pomyślę, to chyba MK w końcu nie podał mi ręki… Wypomnę mu to po Remconie.

W końcu jednak nadeszła ostatnia atrakcja wydarzenia – aukcja charytatywna na rzecz KTOZ. Jak zdążyłem zauważyć, południowy fandom najwyraźniej lubuje się w mystery boksach, bo było ich tam niemało. Zasiadłem w jednym z przednich rzędów – a nuż może uda mi się trochę pomóc i jednocześnie ustrzelić jakiś uroczy merch. Naprawdę długo można by wymieniać wszystkie kolejne wystawione przedmioty, więc pozwolę sobie ograniczyć się jedynie do dwóch, które znacząco zwróciły moją uwagę. Pierwszym z nich był portfel z Rainbow Dash – pojemny, ładny, z dość minimalistyczną, acz łatwo zauważalną sylwetką pegazicy. W drodze licytacji niestety byłem zmuszony odstąpić go koledze, któremu się on o wiele bardziej spodobał. Zawód nie trwał jednak długo, gdyż już kilka minut później na widok wszystkich zostało wystawione inne cudo – poduszka z Rainbow do pokolorowania! Cena rosła tak długo, aż pozostałem jedynym zainteresowanym. Kwota jednak nie satysfakcjonowała TK, więc postanowił do przedmiotu dołączyć drugi – mini pluszak tej samej pegazicy. Nagle las rąk się podniósł, a z nim ponownie cena. Nie dałem jednak za wygraną i w końcu zostałem szczęśliwym posiadaczem obu wystąpień tej postaci. Co ciekawe, nie jest to wcale mój ulubiony kucyk, bo jest nim Spike, jednak bardzo chętnie wydałem trochę gotówki na szczytny cel, otrzymując przy tym coś puchatego. Ogólnie cały przebieg atrakcji mi się podobał. Miałem przyjemność być już na kilku kucowych aukcjach charytatywnych i mogę zaświadczyć, że każda z nich wygląda zupełnie inaczej.

Po aukcji nadszedł dla nas czas spokojnego zbierania się do wyjścia. Znów pomogłem ze stoiskiem, odebrałem Tavi z PlushieConu (chyba się tam świetnie bawiła!), pozakładaliśmy kurtki i wybyliśmy na zewnątrz, po drodze tuląc na pożegnanie po tuzinie osób. Z naszej trójki żadne nie wybierało się na aftera, gdyż planowaliśmy spędzić wieczór wspólnie, toteż poszliśmy na przystanek i wskoczyliśmy na pokład autobusu.

Następnego dnia rano obudziłem się na wygodnej podłodze, odespawszy podkrakowską gościnność wiktoriowego taty. Spojrzałem na zegar i stwierdziłem, że nie warto było tak pędzić. Anulowałem bilet na odjeżdżające dla mnie zbyt wcześnie IC „Sukiennice”, skorzystałem z jeszcze kilku chwil gościny w postaci m. in. śniadania i dużej ilości płynów, po czym Vic odprowadziła mnie calutką mieszaną pieszo-autobusowo-pieszą trasą na Krakau Hbf, gdzie też zaopatrzyłem się w nowy bilet, tym razem na kolej dużych prędkości. „Pekape intersyty” zarobiło na mnie poczwórnie.

Co dał mi KPM? Spotkałem się ze znajomymi, kupiłem magnes i naklejkę, spędziłem ze swoją dziewczyną więcej niż pięć godzin, zeżarłem porządną quesadillę, prawie wygrałem turniej karaoke, zadbałem o to, by moja Octavia została rozsławiona zdjęciami, wszedłem w posiadanie bardzo wygodnej poduszki i milusiego pluszaka, dodałem kilka nowych linii i przystanków do mojej mapy transportu zbiorowego oraz dowiedziałem się, że ekrany AMOLED są hermetycznie obudowane i, gdy się rozszczelnią (np. w wyniku uderzenia w osi równoległej do płaszczyzny ekranu), następuje proces stopniowego utleniania się diod organicznych, co objawia się powstawaniem na wyświetlaczu rozrastających się wpierw różowych, a następnie czarnych plam. Ale co najważniejsze, miło spędziłem czas.

**Na co komu sen, czyli Moon radzi, jak nie przygotowywać merchu noc przed Ponymeetem.**

Jak to jest, że człowiek wie o swoich obowiązkach, ma na nie wyznaczony czas, a i tak robi je na ostatnią chwilę? Może to ta adrenalina, a może jesteś zwykłym leniem, Moon, i dopisujesz sobie zbędną ideologię do braku organizacji pracy? Nah, to pewnie ten dreszczyk emocji. Dzień przed KPM 18.3 zdecydowanie był intensywny. Ja chyba po prostu nie potrafię rozłożyć sobie pracy, gdy w głowie mam same myśli typu: „ten meet jest w Krakowie, nie musisz nigdzie jechać, wystarczy wsiąść w autobus, na spokojnie ogarniesz”. No właśnie, wcale nie tak spokojnie, jakby się można było spodziewać.

Cóż, stało się to, czego chciałam uniknąć. Gdyż w ostatecznym rozrachunku najnowsze wzory moich naklejek i magnesów robiłam w ciągu ostatniego tygodnia przed wydarzeniem, a drukowałam wszystko, co miałam dodać do merchu, w piątkowy wieczór, po powrocie z trzygodzinnego konwersatorium na temat wykorzystania spektroskopii w badaniach medycznych. Wydrukowałam wtedy ponad sto sztuk naklejek i magnesów, które potem musiałam ręcznie wyciąć. Na szczęście Magpie zaoferował mi swoją pomoc, wycinając większość rzeczy w zamian za sprzedaż kilku jego wzorów. Cwaniak, czasem potrafi się ustawić, ale dzięki niemu, zamiast zarwać całą noc, udało nam się uporać z robotą tak, aby przespać całe, piękne, cztery godziny. Tak że porada numer jeden, jeśli wiecie o meecie z miesięcznym wyprzedzeniem, zacznijcie ogarniać rzeczy na sprzedaż sukcesywnie w każdej wolnej chwili, od postanowienia, że się na niego wybieracie. Nie czekajcie do potwierdzenia stoiska przez organizatorów. Gotowy merch zawsze można sprzedać przy innej okazji.

Drugą przydatną rzeczą, jeśli myślicie o stworzeniu własnego stoiska, jest inwestycja w ramki, w których można poukładać przykłady waszego merchu. To bardzo ułatwia i przyspiesza rozkładanie stoiska, a przy okazji merch jest dobrze widoczny i ładnie zaprezentowany (+10 do profesjonalizmu). Na ramkach można też łatwo przyklejać ceny, by ułatwić introwertycznym klientom sprawę, a sobie oszczędzić tłumaczenia, co, gdzie, za ile i ewentualnie dlaczego. Polecam cieplutko, sprawdzone na dwóch meetach. Sprawdza się znakomicie. W ten sposób nie dość, że niemalże od razu po przyjściu na meet byłam już gotowa sprzedawać, to znalazłam też chwilę, by pomóc Vic z jej rzeczami, a klienci pojawili się bardzo szybko. Można też wydrukować oddzielny cennik i postawić go obok rzeczy, ale to jest trochę mniej skuteczne. Klienci często są zbyt rozkojarzeni, by szukać cen obok merchu, więc warto wyjść im naprzeciw i przykleić indywidualne metki przy każdej grupie oferowanych towarów.

W sumie, kolejny już raz największy ruch miałyśmy w pierwszych godzinach imprezy. Później przechodziły już tylko wtórne fale, wylewające się co jakiś czas z sal prelekcyjnych. Z miłych rzeczy: mnóstwo ludzi zainteresowało się moimi naklejkami i magnesami (choć wzory Sroki jak zwykle zeszły jako pierwsze), co zdecydowanie wynagrodziło mi brak snu przed meetem. W przeciwieństwie do Ambermeeta, wzór z Gamer Luną w końcu dostał należytą uwagę i sprzedałam wszystkie towary z tym wzorem, jakie miałam na stanie. Cieszyłam się też, że zainwestowałam w małe koperty na wizytówki, dzięki którym wydawany przeze mnie merch prezentował się dobrze, nawet po zakupie (metaliczny, srebrny papier, szaleństwo) i był odpowiednio chroniony przed zagnieceniami (+20 do profesjonalizmu). Później zainteresowanie zakupami stopniowo spadało, dzięki czemu w końcu mogłam znaleźć chwilę, by narysować całe jedno zamówienie. Taki minus bycia zbyt dokładną przy tworzeniu, ale przynajmniej z czystym sumieniem zarobiłam na swoje wynagrodzenie.   
Jeśli jesteście zainteresowani robieniem rysunków na zamówienie, na ponymeetach, warto przed imprezą przygotować sobie oddzielny cennik do tego typu usług. Bardzo dobrze sprawdzają się segregatory z przykładowymi pracami i cenami za dany rodzaj ilustracji, bo klient ma wtedy ten komfort wyboru i nie będzie nam robił problemów, jeśli podamy mu nagle cenę z kosmosu, bo wszystko będzie miał ładnie wypisane. Warto też przy cenniku tego typu ofert zastosować widełki cenowe, by zainteresowani zamówieniem mogli sobie mniej więcej wyliczyć, ile może być warte ich zlecenie. To trochę ułatwia życie. Victoria z Porcelanką mają tego typu katalog cenowy i bardzo dobrze się sprawdza, bo sposób: „Vic, powiedz mi, ile bierzesz za fullbody” nie zawsze jest miarodajny. xD

Z zabawnych rzeczy: podczas KPM ciotka Moon, pierwszy raz od początku działalności Semaforu, pozwoliła sobie na opuszczenie stoiska całe cztery razy i to na więcej niż minutę. Zaszalałam, nie ma co. Zazwyczaj pozwalam moim Pierniczkom zaszaleć, pilnując interesów. W końcu jestem najstarsza z naszej małej, artystycznej paczki, więc staram się być jako tako odpowiedzialna…i „staram się” to dobre określenie.

Pierwszy raz cały zespół zawiesił działalność, gdy spóźniona Porcelanka pojawiła się w budynku. W tym miejscu mogę się trochę usprawiedliwić i wytłumaczyć, dlaczego tak późno zajęłam się nowymi wzorami naklejek! Ha! Jednak mam jakąś wymówkę! Nasza mała przerwa spowodowana była grupowym składaniem życzeń urodzinowych dla Porcelanowego Okularu, podczas której wręczyliśmy naszej Paprotce mały upominek w postaci spersonalizowanej płyty CD. Tak, nie przywidziało Wam się, tej samej profesjonalnie wydrukowanej płyty, o której wspominała już Vic w swojej relacji. Stworzyłam do niej okładkę moją ukochaną techniką cyfrową (uwaga, sarkazm). Niestety, mimo iż posiadam tablet graficzny już od kilku lat, dalej używanie go w jakiś bardziej efektywny sposób jest dla mnie czarną magią. Męczyłam się z tym obrazkiem dobre kilka dni (i skończyłam idealnie tydzień przed meetem), ale ostatecznie dałam radę go skończyć i to z całkiem zadowalającym rezultatem. Zwłaszcza, że pierwszy raz stworzyłam postać humanoidalną, w pełni digitalowo i do tego aż dwa razy! Utwory z EPki są dostępne na Spotify (tam na okładce użyte są prace Victorii Luny), więc zachęcam do przesłuchania! Niestety utwory, wraz z moimi grafikami, nie są już dostępne na Youtube, ponieważ Altius poukrywał wszystkie swoje filmy na kanale.

(Spotify: <https://open.spotify.com/album/6DGcgsmlvMmMFJ30JmrT2W?si=iSofuhyIQeao5Hbzq7sxdA>)

Za drugim razem podreptałam z Catem pomęczyć się chwilę na pianinie stojącym w głównej auli bursy. Próbowałam tam zagrać „Gypsy Bard”, ale nikt nie podchwycił melodii, więc zrezygnowałam, pełna rozczarowania. Taki klasyk, taki hit i zero reakcji… Smutno! Przynajmniej późniejszy obiad z wynajętej przez organizatorów budki był bardzo dobry.

W ramach trzeciej przerwy zostałam wezwana przez Porcelankę i Altiusa Volantisa na ich prelekcję o projekcie: „Helpie’s corner”, gdzie miałam wypowiedzieć się na temat piosenki, którą wysłałam do puli ich charytatywnej płyty. Z tego, co się wtedy dowiedziałam, moja autorska piosenka, zrealizowana z ogromną pomocą TheFlyingMagpie’a (ja ułożyłam słowa, wymyśliłam melodię wokalu i zaśpiewałam go, a Sroka stworzył cały akompaniament) jest jedynym utworem wykonywanym po polsku, jaki dostali do tej pory. W dodatku jest jedyną kompozycją stworzoną bardziej „klasycznie”, z pomocą żywych instrumentów, i jednocześnie okazała się rockowym rodzynkiem wśród elektronicznych kawałków. Podczas tej pogadanki odbyła się też jej oficjalna premiera, na żywo dla większego grona ludzi, więc yay. Wyszło to nawet całkiem nieźle. Oby ten projekt się ostatecznie udał!

Ostatnią i najstraszniejszą przerwą był moment, w którym Cat zapisał mnie na karaoke i musiałam się skompromitować przed ludźmi, po raz pierwszy grając w tę grę na kucykowym spędzie. Na szczęście nie przeszłam swoich eliminacji, więc była to krótka przygoda. To, że potrafię śpiewać, nie sprawia, że potrafię zdobywać punkty w karaoke. Ważna lekcja. Chociaż i tak podobno nieźle mi poszło. Nie wiem, nie znam się. Ale przynajmniej mogłam się wydrzeć, podczas śpiewania „The Moon Rises” od Ponyphonic. Uwielbiam ten kawałek. Potem nastała chwila spokoju na stoisku. Musiałam wtedy uspokoić dłonie, by przypadkiem nie zepsuć zamówienia, więc pozwoliliśmy sobie z Catem na tradycyjne śpiewanie sztampowych hitów na korytarzu. W tym miejscu przekazuję pełne współczucie ludziom, którzy byli świadkami dziwnego duetu śpiewającego m.in. Ich Troje, Feel i Rubika przy względnej trzeźwości umysłu, niezachwianej napojami procentowymi, na wąskim holu. Może przynajmniej mieliście się z czego pośmiać.

Punktem kulminacyjnym imprezy była aukcja, w której wystawiłam kilka moich rysunków. Nie mam pojęcia, jakie było zainteresowanie tymi bohomazami, ale cieszę się, że mogłam dołożyć chociaż małą cegiełkę do tej szczytnej akcji.

Czego nauczyłam się dzięki temu wydarzeniu? Cytując klasyka: „niczego”… a tak właściwie utwierdziłam się w kilku przekonaniach, które znam od dawna. Mianowicie: robienie czegokolwiek na ostatnią chwilę to nigdy nie jest dobry pomysł, ale gdy już to robić, to trzeba pamiętać o godnej zaufania pomocy. Sen jest cenny, ale gdy jest się biednym studentem, to czasem lepiej go poświęcić dla większego zysku. Ramki do merchu są super. Panowie w budkach z jedzeniem nie doceniają mojej tolerancji ostrego jedzenia, bo kolejny raz ktoś zwątpił, że dam radę zjeść coś z dużą ilością jalapeño (ale przynajmniej quesadilla była smaczna). Jeśli chcę zacząć robić rysunki na zamówienie, na miejscu, to muszę zwiększyć moją wiarę w swoje umiejętności (polecam, fajna rzecz) i w końcu przygotować katalog cen do tego typu usługi. Do tego zdecydowanie nie umiem siedzieć jak normalny człowiek, przez co Cat mógł się nauczyć swojej lekcji i dowiedział się, jak zabić ekran AMOLED z pomocą mojego buta, który zaklinował się w krześle, przez co nieświadomie zrzuciłam jego telefon pod idealnym kątem, by go rozszczelnić. Nie ma za co. Cieszę się, że mogłam Ci pomóc zdobyć tę wiedzę moim cudownym nieskoordywaniem ruchowym (wybacz). I ostatecznie utwierdziłam się w przekonaniu, że chciałabym to powtórzyć, więc mam nadzieję, że odwiedzicie nasze urocze stoisko na następnym większym kucykowym spędzie! Może tym razem będę lepiej przygotowana. Lubię sprzedawać stuff z moimi pracami, bo przyjemnie mieć dla odmiany żywy kontakt z klientem po drugiej stronie. Można też poznać nowych ludzi i usłyszeć kilka miłych pochwał na temat swojej twórczości i powymieniać się doświadczeniami z innymi stoiskami. Serdecznie polecam!

Grafiki:

Baner: <https://sta.sh/0or3fkmt5dv>   
do Cata:

<http://fav.me/dbua48u>

do Vic:

<http://fav.me/ddltnwf>

<http://fav.me/ddk1mhy>

Foto pluszów do artykułu (nie wiem, czy działa)

<https://photos.app.goo.gl/hZarVVVpsF9Vu9f39>

OCki z płyty.

<https://drive.google.com/file/d/1wJPIHYA7qbh_tbInKbsd3Ua0vOIJJCzi/view?usp=drivesdk>

do Moon:

naklejki: <https://sta.sh/21j2vl8edk6m>

zdjęcia stoiska: <https://sta.sh/0ke09egvncx>   
Okładka płyty + indywidualne postaci:  
<http://fav.me/ddl2omr>

<http://fav.me/ddltrxh>

<http://fav.me/ddlwg7o>